ROK DRUGI.

№ 43.

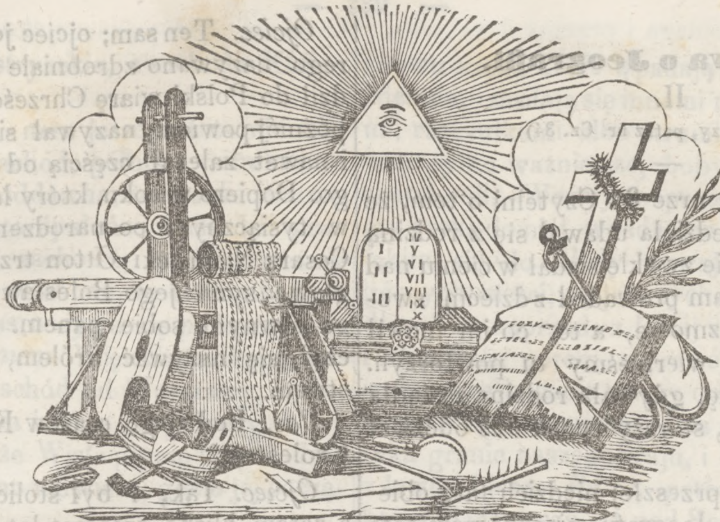
Warszawa.

Dnia 13 (25) października

1857.

Niedziela

20 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Im więcéj w człowieku zwycięża się natura, tem więcéj pomnaża się łaska Boga—łaska ta jest światłem nadnaturalnem, szczególniejszym darem, właściwą wybranych cechą i rękojmią wiekuistego zbawienia; ona człowieka od rzeczy ziemskich do zamiłowania niebieskich unosi. (O naśl. Chr. K. 3 R. 54.)

Myśl o grobie.

Kiedy dostatek, zbytek otacza
Wypieszczonego przez los bogacza,
Wśród hucznych biesiad, pochlebców grona,
Szczęśliwy stokroć, gdy w pokus dobie
Na głos sumienia nie zamknie łona,
Kiedy pamięta o grobie.

Gdy nędzarz biedny jęczy w ukryciu,
Chwili wytchnienia nie doznał w życiu,
Od niemowlęctwa zły los go pędza,
A świat urąga jego chudobie,
Słodką mu przecież wyda się nędza,
Niech tylko wspomni o grobie.

Choć mędrzec, w pracy ducha zsiwiały
Zdobędzie imię i wieńce chwały,
Nie zgrzeszy dumą, usilność szczera
Blasku nabierze, gdy uczuł w sobie,
Że mądrość Pańska wieczność otwiera,
A pycha ludzka kończy się w grobie.

Szlachetny młodzian, co z upragnieniem
Goni za pięknem swojem marzeniem,
Z miłością w sercu, rad silną dłonią
Wywalczyć szczęście drugim i sobie,
Lecz skarby serca łatwo się trwonią,
Gdy ich nie strzeże pamięć o grobie.

Dziewczę dorodne, dowcipne, hoże,
Gdy w bałwochwalczéj przed nią pokorze
Gną się kolana rozpustnej młodzi,
Wzgardzi pochlebstwy, w cnoty ozdobie
Zwycięzko wybrnie z świata powodzi,
Niech tylko często myśli o grobie.

Sierotki słabe z torbą żebraczą
Do miłosierdzia obcych kołaczą,
Lecz je wypchnęli ludzie nieczuli...
O dziatki biedne! w serca żałobie
Bóg was pocieszy, Bóg was przytuli,
Tylko Go proście na matki grobie.

Rozmowa o Jeografii.

II.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 34)

—

Mówiliśmy już w nrze 34 Czytelni o tem, że Wybranowski co niedziela udawał się z rodziną na Saską-Kępę, gdzie zwykle siadał w cieniu nad brzegiem Wisły, i tam prowadził z dziećmi swojemi nauczającą rozmowę, a to, co im mówił pierwszéj niedzieli, wiernieśmy tu powtórzyli. W następną niedzielę, gdy cała rodzina zasiadła na zwykłem miejscu, starszy synek Jaś odezwał się do ojca:

— Proszę taty, przeszłej niedzieli tato obiecał jeszcze mówić o Jeografii, niechże nam tata teraz co powie.

Ojciec. Prawda, że obiecałem, ale pod warunkiem, że będziecie pamiętali to wszystko, co wam wtedy opowiadałem.

Staś. O! pamiętamy, tata mówił o Wiśle i wyspach, o Saskiéj Kępie, Ogrodzie Saskim i o Warszawie, ile to ona ma mieszkańców, i o kraju naszym, jak się on nazywa i z ilu gubernij się składa.

Ojciec. Dobrze, dobrze, no ale jeżeli tak dobrze pamiętasz, powiedz mi, ile jest miast w Królestwie Polskiem?

Jaś. Czterysta pięćdziesiąt trzy, a między niemi największe Warszawa.

Ojciec. Dobrze, największe Warszawa, bo też ona jest *stolicą* kraju, to jest miejscem pobytu nawyższéj władzy, która krajem rządzi. Przed Warszawą stolicą Królestwa Polskiego był Kraków, a przed Krakowem książęta Polscy mieszkali w Gnieznie.

Jaś. A gdzie leżą Kraków i Gniezno?

Ojciec. Kraków leży na téj saméj rzece, co i Warszawa, tylko bliżéj źródeł Wisły, w ziemi Małopolskiéj, a Gniezno daléj w stronie północno-zachodniéj, w Wielkopolsce. Pierwsi nasi książęta mieszkali w Gnieznie, i panowali nad krajami okolicznemi, które składały ziemię polską; później kiedy Bolesław Wielki przyłączył do swego księstwa ziemię Krakowską i Sandomierską, dla różnicy, nazwał swą dawną posiadłość Wielkopolską, bo też ta i rzeczywiście wielką była, a nowo nabyty kraj, Małopolską, i stolicę kraju przeniósł z Gniezna do Krakowa.

Jaś. Czy to ten sam Bolesław, który był pierwszym królem Polskim?

Ojciec. Ten sam; ojciec jego Mieczysław, którego nazywano zdrobniale Mieszkiem, wprowadził do Polski wiarę Chrześciańską, o czem wam późniéj powiem; nazywał się on tylko księciem, i nawet zależał częścią od Cesarza Niemieckiego. Dopiero w roku, który łatwo spamiętacie, bo w tysiącznym po narodzeniu Chrystusa Pana, Cesarz Niemiecki Otton trzeci włożył koronę na głowę syna jego Bolesława, i przez to uczynił go równym sobie panem. Odtąd Bolesław zaczął się nazywać królem, a jego kraj królestwem.

Jaś. I od jego czasów Kraków został stolicą Krolestwa?

Ojciec. Tak, i był stolicą aż do roku 1596, a zatem blisko sześćset lat; z Krakowa zaś Zygmunt trzeci przeniósł stolicę do Warszawy.

Jaś. Czy to na pamiątkę tego Zygmunta wystawiono pomnik w Warszawie?

Ojciec. Tego samego; pomnik ten wystawił mu jego syn Władysław czwarty.

Jaś. Dlaczegoż Zygmunt nazywa się trzecim, a Władysław czwartym?

Ojciec. Bo mieliśmy na tronie polskim trzech Zygmuntów i czterech Władysławów; otóż ten Zygmunt, o którym mówimy, był trzecim z kolei, a Władysław czwartym.

Jaś. Czy wtedy Królestwo Polskie było większe niż jest dzisiaj?

Ojciec. Wtedy, to jest przed dwustu laty było ono dziesięć razy większe, bo kiedy dziś ma 2320 mil kwadratowych rozległości, wtedy miało dwadzieścia kilka tysięcy.

Staś. Co to mila kwadratowa?

Ojciec. Mila kwadratowa, jest to miara powierzchni, w kształcie foremnego czworoboku czyli kwadratu, mająca od jednego rogu do drugo jednę milę, czyli wiorst siedm. Otóż takich miar czyli cząstek można z całego Królestwa zrobić 2320.

Jaś. A ileż ludzi mieszka na téj przestrzeni?

Ojciec. Koło pięciu milionów, to jest, na jednę milę przypada cokolwiek więcéj jak po dwa tysiące mieszkańców. Z tych pięciu milionów, połowa jest mężczyzn, a połowa kobiet.

Jaś. A za granicami Królestwa Polskiego, czy jeszcze jest ziemia?

Ojciec. O! mój kochany, ze wszystkich stron otaczają je różne kraje; tak z północy i wschodu graniczy z nią Cesarstwo Rosyjskie, z połu-

dnia Cesarstwo Austryackie, z zachodu Królestwo Pruskie.

Staś. Proszę taty, nam jeszcze tata nie mówił, co to wschód, zachód, północ i południe.

Jaś. A ja wiem oddawna, że *wschodem* nazywa się strona, w któréj słońce wschodzi, a *zachodem* ta, w któréj zachodzi; a jeśli jesteśmy twarzą obróceni do wschodu, to strona będąca po lewéj ręce od nas nazywa się *północą*, a ta co po prawéj, *południem*. Więc Saska-kępa naprzykład, leży na wschód od Warszawy, a Wisła płynie od południa i dąży ku północy.

Staś. Ty mówisz, że Wisła płynie od południa ku północy, ale pewno nie wiesz, gdzie jéj początek i gdzie koniec.

Ojciec. A zkądżeby miał o tem wiedzieć, kiedy mu nikt o tem nie mówił. Za niego ja ci odpowiem. Wisła wypływa z gór Karpackich w Galicyi, i zdąża wprost na wschód, płynąc ze 20 mil po saméj linii granicznéj Królestwa Polskiego; koło Zawichosta wchodzi w granice naszego kraju i płynie ku północy. W tym Zawichoście jest straż wodna, która uważa, kiedy woda w Wiśle się podnosi, i skoro dostrzeże, że woda wzbiera do tego stopnia, iż zagraża wylaniem się na okoliczne łąki, wysyła natychmiast sztafetę do Warszawy, a ztąd wychodzą ostrzeżenia do wszystkich nadwislańskich okolic, żeby mieszkańcy mieli się na baczności, aby wylew Wisły nie zastał ich nieprzygotowanych i nie zrządził jakiego nieszczęścia. Otóż Wisła płynie od Zawichosta ku północy, a o kilka mil za Warszawą, koło Nowogeorgiewska czyli Modlina skręca na zachód, ale nie w prostéj linii, tylko zawsze trzyma się północy, i koło wsi Słońska wchodzi do Królestwa Pruskiego; tam płynie ku zachodowi, a od Bydgoszczy wprost dąży ku północy, i nakoniec wpada do morza Baltyckiego.

Jaś. A na ile mil się ona ciągnie?

Ojciec. Wszystkiego na mil przeszło 130, w samem zaś Królestwie Polskiem na 80.

Jaś. Więc Wisła jest największą rzeką w naszym kraju?

Ojciec. Największą, i dwie tylko rzeki Królestwa wpadają do morza: Wisła, która płynie przez środek kraju, i Niemen, płynący po jego wschodnio-północnéj granicy; inne wlewają się lub do tych dwóch rzek, lub do Odry, która wpada także do morza Baltyckiego, ale żadną swą częścią, dzisiejszego Królestwa Polskiego nie dotyka. Te znowu rzeki, które wpadają do Odry, Wisły lub Niemna, zasilają się innemi rzeczkami mniejszemi, rzeczułkami albo strumieniami. Wyliczę tu wam tylko ważniejsze, bobyście wszystkich nie spamiętali. Weźmy naprzód Wisłę, i wymieńmy rzeki do niéj wpadające w tym porządku, w jakim się do Wisły zlewają i zacznijmy od jéj górnych części, to jest tych, które są bliżéj źródła. Tak naprzód, z lewéj strony Wisła zabiera rzekę *Nidę*, potem z prawéj rzeki: *San*, który wszakże całkowicie należy do Galicyi, i tylko małą cząstką (wszystkiego na pół-trzeciéj mili) dotyka granic naszego kraju, i *Wieprz*; daléj znowu z lewéj bierze *Pilicę*, potem z prawéj *Narew*, która złączywszy się pod Serockiem z *Bugiem*, wpada w Wisłę pod Modlinem czyli twierdzą Nowogeorgiewską; za nią znowu z lewéj strony zabiera *Bzurę*—o innych mniejszych nie powiem, bo nie ręczę, czy i te spamiętacie. Do Niemna wpadają z lewéj strony: *Czarna Hańcza*, *Biała Hańcza* i *Szeszupa*, prócz kilku pomniejszych, chociaż i te, które wymieniłem, także do dużych nie należą. Nie mówię nateraz o rzekach wpadających do Niemna z prawéj strony, bo postanowiłem wspomnieć wam tylko o tych, które płyną po ziemi Królestwa Polskiego—do *Odry* wpada jedna większa rzeka *Warta*.

Staś. Tata przeszłego razu mówił nam i o jeziorach, czy są jakie jeziora w Królestwie Polskiem?

Ojciec. Jezior jest w kraju naszym niewiele, i jedna tylko gubernia Augustowska może się niemi pochwalić. Z tych jezior głównie mamy ryby, dostarczane zimową porą do Warszawy— z ważniejszych wymienię tylko *Wigry*, słynne z klasztoru Kamedułów na półwyspie tego jeziora leżącego, *Rajgród* i *Augustowskie* pod miastem Augustowem, od którego kanał nosi nazwę Augustowskiego.

Jaś. Jaki kanał?

Ojciec. Wiecie, że spław towarów wodą jest dogodniejszy i tańszy niż lądem. Naprzykład, jaka to dogodność z wiosną, gdy koryto Wisły głęboką wodą jest wypełnione, naładować statki zbożem, którego mamy podostatkiem i wieźć je na północ do Gdańska nad morze Baltyckie, a ztamtąd rozwozić je na okrętach po różnych krajach, gdzie ludzi dużo, a chleba stosunkowo niewiele; potem zabierać za to zboże inne przedmioty dla nas potrzebne i do kraju je wozić tąż samą drogą; przez co zamożność ludu się

powiększa, handel wzmaga i przemysł zakwita. Otóż żeby ułatwić stosunki południowych okolic kraju naszego z północnemi, postanowiono złączyć Wisłę z Niemnem, ale jak?— oto statek przypuśćmy, galar czy berlinka płynie Wisłą, naprzykład od Warszawy i płynie na północ; koło Modlina, czyli Nowogeorgiewska wchodzi w Narew, (którą dodam, że od Modlina do Serocka, okoliczni mieszkańcy nazywają albo Narwią albo Bugiem); dalej płynie wciąż Narwią, aż do rzeki Biebrzy, która na granicy kraju naszego do Narwi wpada; ztamtąd po granicy płynie Biebrzą aż do rzeki Netty, która łączy się z jeziorem Augustowskiem. Od tego jeziora wykopano kanał, długi na 14 mil, łączący to jezioro z rzeką Czarną Hańczą, która wpada do Niemna. Tą drogą możemy wodą przepłynąć od Wisły do Niemna, i tam już płynąć Niemnem do Grodna, Kowna i dalej, lub też napowrót z Kowna i Grodna do Warszawy.

Jaś. A kiedy to taka długa droga.

Ojciec. Prawda że długa, to też rzeczywiście spławiają tą drogą najwięcej drzew, czasami zboże, ale nigdy prawie innych towarów nie wysyłają.

Otóż teraz wiecie, jakie są rzeki i jeziora w naszym kraju. W przyszłą niedzielę przystąpię do opowiadania o główniejszych miastach, i przejdę z wami każdą z pięciu gubernij Królestwa zosobna.

Staś. Z jakich gubernij?

Ojciec. Kraj nasz jest podzielony na pięć części, które się nazywają guberniami, a te są: Warszawska, Lubelska, Radomska, Płocka i Augustowska. Zaczniemy od Warszawskiej.

Spotkanie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Mostem po nowej drodze od Wisły ku Zamkowi królewskiemu w Warszawie, codziennie i to kilkakrotnie chodził człowiek, więcej jak średniego wieku, roznosząc dwoma wielkiemi kubłami wiślaną wodę na sprzedaż.

Ubranie jego chociaż było jak najbiedniejszego wyrobnika, lecz zawsze czysto, cało i starannie utrzymywane; twarz zmarszczkami poorana, oczy zapadłe głęboko, a ręce grube świadczyły, że ciężko pracował na kawałek chleba. Wprawdzie był on sam tylko, ale ta samotność tem dokuczliwszą mu się zdała, że przed nikim nieśmiał się pożalić, ani wyspowiadać swoich dolegliwości.

Mieszkając na Rybakach pod strychem, żył tylko z dnia na dzień, nie troszcząc się o swoję przyszłość, i powtarzając sobie: co mi tam, wszystko mi jedno, czyli dziś, czyli jutro—i dożył 50 blisko lat wieku. W domach, po których roznosił wodę, zwano go starym ojcem Antonim i poczciwym nosiwodą. Wpatrzywszy się badawczo w twarz Antoniego, można było dostrzedz jakąś boleść niezwyczajną.

Było to 18 marca, w dzień Śgo Gabryela Archanioła—nasz nosiwoda Antoni dźwigał już poraz drugi swoje dwa wielkie kubły wiślanej wody, i dla wypoczynku ustawiwszy je wprost strażniczego domku na nowej drodze, zaczął spoglądać na Wisłę, jak syn na matkę, co z jej łona wyczerpuje krople życia dla siebie. Zadumawszy się mocno, zatęskniwszy za jakąś daleką przeszłością, wymówił z radością:

—Mój mocny Boże, a toć już jakoś niebo z zimowych chmur się przeciera, bieleją od wschodu obłoki wiosenne, czuć z nich ciepło, a ten deszczyk, co tak mży rzęsisto jakby ksiądz w czasie odpustu po modlitwie ludność Śtą skrapiał wodą, ziści przysłowie, że po dniu Ś. Grzegorza popłynie Wisła do morza. O! moja kochana Wisło, mówił dalej do siebie, niechaj ci tylko wiosenne słońce błyśnie, a pękną te twoje z lodu okowy, co ciebie tak cisną jak i mnie dolegliwości losu; a przecież pomnę, jak gdyby przez sen, że inaczej i dla mnie było. Tak samo, jak ty kochano rzeko gdy jeszcze wiosna była w mojem sercu, kiedy myśli jasne, żywe jak kwiaty majowe, stroiły moje dziecinne lata w domu rodzinnym; upływało mi życie jak twoje wody, a żywo i swobodnie, jak twoje fale mieniące się w tysiączne odblaski wiszącego nad tobą nieba. A dziś?.. ani wiem, gdzie rodzina, ani wiem, czy przyjazna ręka zamknie mi powieki i gdzie spoczną moje kości. Straszne losu igrzysko—dla ciebie Wisło powróci wiosna i lato, zajaśniejesz znów swoją pięknością i swobodą, a dla mnie już się nic nie powróci—i gorzko zapłakał nad niedolą swoją.

W tej chwili podłużna, ale zgrabna bryczka z dobraną czwórką jakby jeden karych koników w krakowskim uprzęży, któremi powoził chłopak w kerezyi z czerwoną czapeczką, toczyła się zwolna po nowej drodze. Znać, że chło-

pak spełniał tylko rozkaz pana wolnéj jazdy, aby mógł napieścić oko widokiem Wisły, co zdawała się jednolitą taflą lodowego zwierciadła.

Jadący w bryczce, był to obywatel około lat 40 mający; rumiany, z jasnem i żywem okiem przedstawiał w swoich rysach obok przystojności, jakąś szlachetną łagodność; wychylał się aż z bryczki, aby obejrzeć tę królowę rzek polskich, która najwspanialéj pod stolicą rozlewa swoje wody—na bryczce tłómok i różne pudełka świadczyły, że obywatel w daleką gdzieś drogę podążał.

Antoni nosiwoda ujrzawszy cztery dzielne koniki w tak dziarskim uprzężu i woźnicę strojnego, rozpromienił się radością. I nie dziw, będąc z stron krakowskich, wszystko, co ztamtąd szło, kochał sercem i duszą; bo każdy z nas gdzie wziął życie, gdzie rósł i przepędził wiek dziecinny, tęskni do tych miejsc i widzi je zawsze najpiękniejszemi.

Dojrzał jadący pan tę radość nosiwody, uśmiechnął się doń przyjaźnie, i rozkazał przystanąć, a przypatrując się badawczo nosiwodzie, uczuł dlań niepojętą przychylność, niby dawną znajomość, coś bliskiego i pomyślał sobie: ten człowiek, jeśli mnie serce nie zwodzi, musi być uczciwym.

Nosiwoda coraz z większem zajęciem przyglądał się koniom i krakowiakowi, nie zważając wcale na pana. Podróżny kazał przystanąć i tak do nosiwody przemówił:

— Cóż mój przyjacielu! ładne moje koniki?

— Dosyć, odpowiedział nosiwoda.

— Musiały ci się bardzo podobać?

— Prawda, lecz więcéj na nich uprząż i ubiór woźnicy mi się spodobały, bo mi przypominają moje strony.

— Albożeś przyjacielu z Krakowskiego?

— Tak panie, zcicha i niepewnie odrzekł nosiwoda; tam się urodziłem i przeżyłem lata, ale tylko dziecinne—wszystko więc, co ztamtąd pochodzi, obudza we mnie ciekawość i miłe wspomnienia.

Po téj odpowiedzi nosiwody, w której dostrzedz można było żal prawdziwie serdeczny, podróżny jakby dla ulżenia jego smutkowi, wydostał złotówkę z kieszeni, a dając ją przyglądającemu się nosiwodzie, rzekł:

— Masz przyjacielu, wypij co za moje zdrowie, boć i ja także krakowiak.

Ponuro, boleśnie, jakby z wyrzutem spojrzał w oczy panu nosiwoda i odsuwając mu rękę,

— Dziękuję, rzekł, za jałmużnę; jeszcze o nią nie proszę, ani też nie zrobiłem nic takiego dla pana, coby mi dawało prawo wzięcia jakowéj od niego zapłaty. Póki te ręce zdrowe, mówił z uniesieniem, póki ramiona wystarczą do noszenia (pokazując na dwa wielkie kubły z wodą), póki oczy prowadzić mnie mogą, dotąd żadnego i od nikogo wsparcia nie żądam.

Choć zawstydzony tą odpowiedzią nosiwody, podróżny jeszcze więcej zwrócił uwagi na niego i po chwili zapytał:

— Jakże cię zowią mój przyjacielu?

— Pełka, odpowiedział.

— Co, Pełka? zawołał, wtórząc po kilkakrotnie, co Pełka, Pełka?

— Cóż tak dziwnego mój panie, że ja Pełka się nazywam?

— Tak... nie... wyjąknął prawie pan— tak nie... znam podobne nazwisko, ale powiedzże mi, gdzieżeś się rodził?

— To wiem, że we wsi Gżuchówce pod Będzinem nad granicą pruską, około rzeki Przemszy.

Coraz bardziéj płoniła się twarz podróżnego, coraz silniéj biło w nim serce, coraz mocniej cisnęły mu się wspomnienia rodziny; wpatrywał się w twarz nosiwody jak lekarz w chorego, i pragnął trzydziesto-letnią czasu zasłonę przedrzeć okiem, zatopić się w sercu wyrobnika, czy-on ten sam, czy inny?

Oczy tylko wyjawiały tę myśl pana, lecz serce chciało więcéj, jak prostéj znajomości z nosiwodą; bo są w człowieku często nieomylne przeczucia, które domysły w jasną prawdę zamieniają.

Tego samego doznał rozmawiający pan z nosiwodą, i po chwili w natłoku niepojętych mu uczuć, zapytał go zcicha:

— Mój poczciwcze, jakże ci na imie, czy masz jeszcze i gdzie jaką rodzinę, kto byli twoi rodzice, i czy znasz ich imiona?

— Czy rodzina moja jest gdzie, tego nie wiem, lecz to wiem, że ojciec Karol a matka Marya, że mieli podobno jakąś posiadłość, bo więcéj nie pamiętam—mnie zaś na imie Antoni.

Z wymówieniem imion ojca i matki przez no-

siwodę, pan wyskoczył z bryczki, wyciągnął doń ręce i z najwyższą radością zawołał:

— Antku drogi! mój Antku! poczciwy mój jedyny Antku! uściskajmy się, i w téj chwili siadaj ze mną do bryczki— skończyłem podróż, nie pojadę już daléj, wracam do Warszawy, a za dni kilka pojedziemy do Gżuchowa; znajdziesz jeszcze tych, co cię poznają—i nie czekając odpowiedzi, porwał Antoniego Pełkę wpół, i posadził obok siebie na bryczce. Wawrzek! zawołał na woźnicę, wracaj do hotelu.

Pełno zebrało się widzów na nowéj drodze, bo każda nowość w Warszawie przynęca ciekawych, tém bardziéj, że pan tak strojnie jadący posadził obok siebie wyrobnika nosiwodę, i wraz jechał z nim do hotelu Rzymskiego.

Antoni nosiwoda nie mógł przemówić ani słowa, szczęście jego zdawało mu się jakimś cudem Opatrzności, którego nie pojmował; radość jego tak była wielką, jak radość tułacza, co po trzydziestu latach wędrówki po świecie wraca znów do rodzinnéj ziemi.

—

Obywatel, który wziął z sobą Antoniego Pełkę nosiwodę, był Stanisław Pełka, jeden z tych ludzi, co mieli religią i miłość dla rodziny w sercu.

W piętnaście lat urodzony po swym bracie, doszedłszy 30 roku życia, otrzymał wielki majątek po śmierci rodziców, i żył tam, słysząc tylko od krewnych, że przed przyjściem jego na świat, rodzice mieli syna, który gdzieś zniknął w dziecinnym prawie wieku.

Postanowił go wynaleść— wyśledził więc, że z rodzicami jego procesował się zawzięty sąsiad, a przegrawszy, przez zemstę porwał im dziecko i wywiózł potajemnie aż na Litwę, i tam je zostawił. Rodzice szukali syna, lecz napróżno, osądzili w lat kilkanaście, że pewnie nie żyje. Antoni Pełka, bo to był ten sam, błąkając się tu i owdzie, przybył do Warszawy; nie mając z czego żyć, nosił, póki był młodym piasek, a w starości wodę na sprzedaż z Wisły.

Brat jego Stanisław wyruszył w drogę, aby go wynaleść, i spotkali się oto w Warszawie. Sprawdzone dowody przekonały, że byli dziećmi jednych rodziców.

Na tem kończę opowiadanie, dodając, że nietrzeba nigdy zapominać o swoich krewnych, w jakimkolwiek są stanie— kto się nie wstydzi biedniejszego i rękę mu poda, jak Stanisław swojemu bratu Antoniemu, ten jest prawdziwym chrześcianinem.

W dwa tygodnie po spotkaniu się na nowéj drodze jechała szybko przez rogatkę Jerozolimską bryka, w cztery kare konie w krakowskim uprzężu; powoził niemi chłopak w kerezyi i w czerwonéj czapeczce, a na bryczce siedziało dwóch braci: Stanisław Pełka, dziedzic kilku wsi w Krakowskiem i Antoni Pełka nosiwoda Warszawski.

Rady dla rolników.

—

Stary i doświadczony rolnik zdając gospodarstwo synowi swemu, udzielił mu wiele rad i uwag z trzydziestoletniéj przeszło praktyki wyjętych, które tu dla ich użyteczności podajemy:

— Synu! mawiał on, dwojaki jest każdego pracującego w ziemi obowiązek: dobrego rolnika, a przedtem jeszcze dobrego człowieka i obywatela. Żyjemy w wielkiéj rodzinie społecznéj, tak nas Bóg urządził; niewolno nam myśleć tylko o sobie, ciąży nas jedna wspólność pracy, wzajemność usług i powszechna miłość pomiędzy sobą. Inaczéj, można być dobrym rolnikiem, a lichym lub żadnym człowiekiem. Pracujemy pługiem, ale nie sami tylko; wszak dzielą z nami tę pracę w pocie czoła i nasza czeladka, i nasze bydlątka—tamtéj miłość, a tym łagodne i szlachetne obejście się od nas należy.

A cały ten, że tak powiem warsztat rolniczy służyć ma do tego, abyśmy nietylko dla siebie zyski upatrywali, ale co ważniejsza, mieli ciągle na widoku ulepszanie siłami danemi nam od Boga, naprzód roli i wszystkiego, co nas otacza, daléj upiększanie naszą pracą świata ziemskiego, uszlachetnianie spółstworzeń z nami pracujących, dobro bliźnich naszych, w którem jako cząstka zawiera się i nasze własne, a w tem wszystkiem chwałę Boga. Więc rolnik ma pamiętać, aby jako pracujący w ziemi, a zatem *ziemianin*, jako żyjący po polach, a zatem *polanin* ulepszając wszystko, co go otacza, stawał się wzorem dla reszty ziemiańskiego narodu, nie przez samolubstwo dla własnego zysku, ale przez miłość i poświęcenie dla dobra powszechnego.

Powiesz może, że nie każdy może się poświęcać dla drugich—oj nie! mój synu. Gdy idziesz drogą, a napotkasz na niéj kamień, gdy go podejmiesz z drogi i położysz na boku, albo koło strumyka bliskiego, zrobisz już poświęcenie: czyn twój cię uświęci, bo każdy przechodzący nie obrazi o ten kamień nogi, a gdy się zbierze więcéj takich kamyków, złoży się z nich płotek dla roli, albo grobelka dla wody.

Zresztą ten świat wielki, świat Boski, który jest nad nami, którego człowiek dotknąć swą ręką i zepsuć nie może, ten świat mówię piękny, Bóg nam dał za wzór do ulepszania i udoskonalenia naszego tu ziemskiego świata.

Spójrz tylko gdy pracujesz w polu, na owo piękne, jasne, Boskie słonko, jak ono wszystkim świeci, wszystko ogrzewa, karmi, upiększa ziemię i przyciąga tysiące światków do siebie. Tak i człowiek powinien oświecać innych swą radą, ogrzewać życzliwością, szczodrobliwością karmić, a przyciągać do siebie miłością. Pójdzie za tobą tysiące tobie podobnych, a za nimi cały ziemiański naród, i stanie u kresu swego przeznaczenia, t. j. przez rządność, pracowitość i dobre używanie darów Bożych stanie się wzorem dla innych; i to większą zjedna mu sławę, aniżeli, żeby świat cały pozyskał, a nie umiał żyć na nim poludzku.

Niech ci zresztą żywot Chrystusa, ten wzór najświętszego życia na ziemi, będzie ciągłą poradą; wprzód On karmił i leczył, a potem nauczał—karmij więc i ty naprzód ludzi chlebem, tym Bożym darem, lecz cierpienia i troski miłością, a ucz wzorową i rozumną pracą około ziemi. W pracy tej pamiętaj:

1. Że wszystko, a więc i twój zawód zaczynać się ma od *początku*; ulepszaj więc naprzód *łąki*, pastwiska i uprawę roślin pastewnych, abyś miał czem żywić i opatrywać twój dobytek.

2. Pielęgnuj, uszlachetniaj i karm dobrze tenże *dobytek*, abyś miał z niego współpracownictwo w twym ciężkim zawodzie i dostatek nawozu.

3. Pomnażaj i ulepszaj, o ile ci tylko sztuka gospodarowania radzi, ilość tego *nawozu*, abyś miał czem użyzniać ziemię.

4. Uprawiaj starannie i użyzniaj tę *ziemię*, abyś miał wiele zboża i obfitość innych plonów.

5. Zasiewaj, dopatruj i sprzątaj dobrze *zboża* i plony, abyś miał czem żyć i co spieniężać ku zaspokojeniu innych potrzeb twoich.

6. Spieniężaj przez uczciwą, a rozumną sprzedaż zboża i plony twoje, abyś miał dosyć *pieniędzy* dla spełnienia należycie twojego zawodu.

7. *Używaj dobrze* tych pieniędzy, abyś żył, jak tylko najuczciwiéj żyć powinien rolnik i człowiek.

8. *Naśladuj* wszystko, co jest w dziełach Boskich i ludzkich *doskonałego*, t. j. odpowiedniego dobru powszechnemu, bo tylko przez to możesz wypełnić obowiązek konieczny człowieka.

9. *Doskonal*, ile możesz wszystko, co się da *doskonalić*, t. j. to, co się powszechnemu dobru odpowiedniem stać może; albowiem przez to dowiedziesz, że jesteś istotą najdoskonalszą, na wzór i podobieństwo Boga stworzoną, bo nawet dzieła Stwórcy dopełniać zdolną.

10. *Poświęcaj* owoce prac twoich i samego siebie, przez prowadzenie życia doskonałego, a poświęcaj je dla sprawy owego powszechnego dobra, w którem jest i chwała Boga, i dobro naszych bliźnich i pożytek naszych spółstworzeń, a w końcu i własne nasze dobro.

Bo widzisz mój synu! Bóg jest tak wielkim i dobrym, że poświęcenie, ów pierwszy obowiązek człowieka, zaliczył na karb jego zasługi; i na odwrót, najwyższą cnotę ludzką, poświęcenie wskazał człowiekowi za główną jego powinność w tem życiu.

Na drugi raz pomówię z tobą obszerniéj.

Czeladnik Jubilerski.

Lat temu ze dwadzieścia, do jednego z tutejszych zakładów jubilerskich przyjęty został młody człowiek, syn zasłużonego lecz ubogiego oficera, pełen zdolności, chcąc usposobić się w tym zawodzie—i wkrótce uczeń przewyższył swego mistrza.

Niedawno do pomienionego zakładu zgłosił się z Wołynia bogaty marszałek, który straciwszy jedynego syna, co był całą jego nadzieją i co miał być dziedzicem obszernych włości, szukał ulgi zbolałemu sercu w dobroczynności, jaką wokoło siebie rozlewał, i pociechy u podnóża ołtarzy pańskich, które szczodrobliwie ozdabiał. Przybył on właśnie do Warszawy, a-

żeby dla kościoła swego parafialnego, w którym zwłoki syna były złożone, zamówić bogaty krucyfiks szczerozłoty, wysadzany brylantami, i tym celem przywiózł z sobą potrzebne złoto i kamienie. Jubiler robotę tę powierzył młodemu owemu rzemieślnikowi, przekonany, iż się z niéj wywiąże jak należy.

Pracując nad owym krucyfiksem, zdawał się być zaprzątnięty jakimś zamiarem, jakaś myśl szlachetna, myśl zacna uderzyła go i wzruszyła do głębi.

W dniu oznaczonym przybywa marszałek dla przeważenia złota przed osadzeniem brylantów; ale jakież było jego zdumienie, gdy go znalazł znacznie więcéj nad wagę. Natychmiast nasunęła mu się myśl, iż przy robocie ukrytą została część złota i zastąpiona innym metalem, zkąd powstała różnica wagi. Wybuchnął więc wymówkami i odgróżkami przeciwko nierzetelnemu robotnikowi. Właściciel zakładu niemniéj zdziwiony, każe przywołać naszego młodzieńca, iżby się usprawiedliwił z uczynionego zarzutu; ten po krótkiem wahaniu tak przemówił:

— Bóg, co zna tajemnice serc naszych, wie, że mojego podobna wina nie ciąży—to, com uczynił, pragnąłem, aby było ukrytem; obarczony niesłusznem podejrzeniem, milczeć nie mogę. Otóż rzecz się tak ma: Widząc pana, żeś dla uczczenia Stwórcy poświęcił tak znaczną ilość złota i drogich kamieni, przyszła mi myśl dołączyć do nich przynajmniej wartość méj pracy; obliczyłem ściśle mój zarobek i zakupiłem odpowiednią ilość złota, jako ofiarę dla Chrystusa, tusząc sobie, iż dobrotliwy Pan przyjmie dar ten ubogiego, jak przyjął grosz wdowi. Przyjąłem więc udział w tem dobrem dziele.

Na tę niespodziewaną odpowiedź marszałek oniemiał z zadziwienia; po chwili milczen a rzekł do robotnika:

— Czy istotnie prawdą jest moje dziecko, żeś tak pomyślał i uczynił? Otrzymawszy zaś odpowiedź potwierdzającą uczciwego rzemieślnika, gdy majster sprawdził rzetelność twierdzenia jego, rzekł daléj:

Ponieważeś mój chłopcze! chciał podzielić zasługę tego dzieła, podziel więc i mój los — od téj chwili przybieram cię za syna, dziękując Bogu, że w tobie wynagradza mi w części stratę, jaką z woli Jego świeżo poniosłem.

Jakoż zabrał z sobą zacnego młodzieńca na Wołyń, adoptował za syna i uczynił go swym spadkobiercą, wynagradzając nieograniczoną cześć i przywiązanie, jakiemi go ten ciągle otaczał.

Wspominki.

Pan Filip z *Konopi* (1) płoszywszy przez lat 40 Turki, Tatary, Wołoszę, za królów Kazimierza, Albrechta i Aleksandra, osiadł nareszcie w swoim majątku. Pojechał on raz na sejmik. Wychowany w obozach, wprawny więcéj do ścierania się z pohańcem, niż do rozpraw publicznych, nie zważał bynajmniéj na przedmiot obrady i zaczął wcale o czem innem prawić. Śmiech powstał powszechny—Ktoż tam taki wyrwał się? zapytał któryś ze szlachty—To pan Filip z Konopi! krzyknęli usłużni sąsiedzi. I odtąd wychodzi na stół pan Filip przy każdem niedorzecznem słówku.

—

Było to przed 300 laty prawie, gdy się Jan Zamojski kanclerz dowiedział, iż najznakomitszy wówczas rymotwórca polski Jan Kochanowski, od dworu króla Zygmunta Augusta oddalił się i w dziedzicznéj wiosce swojéj Czarnolesiu osiadł. Nie mógł znieść kanclerz, iżby ten zasłużony mąż rzadkie swoje przymioty w nieznanym kącie zagrzebywał; dlatego wyrobił mu kasztelanią Połaniecką u króla i posłał mu na nią przywiléj. Kochanowski podziękował za tę łaskę, krzesła jednak w senacie nie przyjął, mówiąc: iż na miernych dochodach przestaje, a dumnego kasztelana do domu swego wpuścić nie chce, któryby przez swoje marnotrawstwo wszystko wnet strwonił, czego się Kochanowski dorobił.

—

Ossolińska wojewodzina Wołyńska, jednéj damie, która z ubolewaniem opowiadała błędy cudze, rzekła: Wacpani politowanie nad cudzemi błędami równa się krokodylowi, o którym powiadają, że gdy pożera ludzi, łzy nad niemi roni.

(1) Konopie wieś w Sandomierskiem.

W druk. J. Ungra — Wolno drukować. Warszawa d. 7 (19) października 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.